Znaczenie wartych odnotowania cisz w historii Szkocji

Z wielkim trudem przychodzi mi mówienie prawdy. Dlaczego, nie wiem. Wychowano mnie całkiem przyzwoicie w bogobojnym domu i wysłano do szkoły, gdzie suszone śliwki i haggis szły ramię w ramię z chrześcijańskim hartem. Jako była świecka kaznodziejka, matka zrobiła co mogła, a ojciec był człowiekiem, którego Bóg często i dostrzegalnie przerażał. Mimo to z wielkim trudem przychodzi mi mówienie prawdy.

Co gorsza odkryłam, że w pewnym momencie nikogo tak naprawdę nie obchodzi, czy kłamiesz. A ja kłamię. Mogę być z tobą szczera. Mogę ci powiedzieć, że nie mówię prawdy. Mogę też dodać, że nikt nie zauważa.

W pracy wymaga się ode mnie zbierania rzeczy prawdziwych i zapisywania ich dla wygody innych. Jestem przeznaczona do czytania książek, wyssania ich wnętrzności i przekazania ich ludziom, którzy nie czytają książek. Bo jestem tu po to, żeby to dla nich zrobić. Zmieniam liczby w wykresy, wykresy we wnioski, a wnioski znowu w liczby. Lubię to; jest bardzo uporządkowane. A liczby, które wychodzą na końcu zawsze różnią się od tych, z którymi zaczynałaś. To stałe źródło satysfakcji.

Lubię swoją pracę, jest schludna i zróżnicowana, dobrze płaci. Niestety, jest też stałą pokusą. Raz za razem prezentuje mi idealną okazję, by skłamać. Błaga cię, byś skłamała. Ponadto wciąż, bez cienia wątpliwości, udowadnia, że w nic nie jest trudniej uwierzyć, niż w prawdę.

Moje badania odkryły autora, który bombardował żonę gotowanymi ziemniakami przynajmniej raz w miesiącu, niesławny czerwi wysyp w Yorkshire i co najmniej jedną kobietę z dwiema parami nóg, i są to rzeczy prawdziwe, powstałe z faktu sprawdzalnego. Ojciec wybitnego seksuologa faktycznie próbował wyłudzić odszkodowanie stojąc po pas w sadzawce i wywołując śmiertelną dawkę zapalenia płuc. Nie zaprzeczę temu w żaden sposób. Wszystko to jest prawdą i należy to zaakceptować, chyba że postanowię myśleć, że pokolenia ludzi takich jak ja po prostu zmyślały.

Jest to, oczywiście, całkiem możliwe, lecz bardzo trudne do udowodnienia. Nawet jeśli takie indywidua pozostawiły by po sobie zapis zbrodni dokonanych na prawdzie, nie moglibyśmy być pewni ich niepodważalności. Nie byliby ludźmi, którym można ufać.

Teraz, gdy pracuję, staram się nie myśleć o prawdzie i zamiast tego skupiam całą uwagę na słowach. Słowa mówią to, co od nich chcesz; to wszystko, co mogą. Dobrze nam razem, nawet w te poranki, gdy dla zabicia nudy mamy tylko mapy i geografię historyczną.

GLEN FLASPOG

Najbardziej wartą odnotowania cechą glenu jest sekwencja spektakularnych wodospadów, spadających z wysokości tysiąca dwustu stóp ponad poziomem doliny.

Wszystkie kaskady, Wielki McIver, Zły Czerwony McIver i Potok Łkającej Matki, pozostają suche od kilkuset lat; ku pamięci, mówi się, makabrycznej Masakry McIverów, zgotowanej przez Złego Czerwonego McIvera własnym pobratymcom.

Inne, jeszcze starsze opowieści sugerują, że wodospadów nigdy nie było, chyba że w okresach wyjątkowych opadów atmosferycznych, i że ich nazwy wywodzą się od wyszukanego, a obecnie zapomnianego psikusa.

Szajka Stu Sprzedawczyków pod wodzą Złego Czerwonego McIvera znana była z niezachwialnego oddania swemu przywódcy. Każdy członek Szajki dobrowolnie rzuciłby się w dół ze szczytu Wodospadów McIvera na najmniejsze skinienie głową wodza.

Ostatni ocalały członek Szajki odszedł w taki właśnie sposób, w towarzystwie Złego Czarnego McIvera. Później świadkowie nie byli w stanie zdecydować, czy tenże finał stanowił rozpaczliwe morderstwo, czy pakt samobójczy.

Niewielki kopiec u stóp Wodospadów zaznacza miejsce.

Powyższe nie jest, oczywiście, prawdą, ale jest dużo ciekawsze niż brązowo-zielony glen przetykany szarymi kamieniami i paroma owcami. Gdyby dalekowzroczni posiadacze ziemscy nie oczyścili gruntu z jakichkolwiek ludzi wieki temu, miejsce wyglądałoby jak Castlemilk. O wszystkim decyduje los, przypadek. I nie ma sensu bycie Szkotem, jeśli nie wymyśla się własnej historii na poczekaniu.

Każdy tak robi.

Ale jest rzecz, której prawdziwości mogę poświadczyć, bo przydarzyła się mi. Pójdź gdziekolwiek, gdzie przechowuje się historię i posłuchaj. Wstrzymaj oddech. Usłysz bezruch. Bibliotekarze i archiwiści uciszają odwiedzających, ale ta konkretna cisza nie ma z nimi nic wspólnego. Przebiega przez brzęczące sale

komputerowe i czeka w ruchliwych archiwach, zawsze tam jest. To dźwięk niczego. To ogromny, niewidzialny, cichy ryk wszystkich zbyt maluczkich do odnotowania. Znikają, pozostawiając przeszłość zamieszkałą jedynie przez morderców i geniuszy i świętych.

Dźwięk na początku jest nieomal kojący, jak czułe obmywanie morza. Potem zaczynasz zdawać sobie sprawę, że życie później dołączysz do tej ciszy i nic więcej. Nie lubię tego. Sprawia, że moja praca wydaje się bezcelowa.

Uznajmy tak.

Czemu mam pisać o ludziach, skoro o większości ludzi nie da się pisać, bo znikli bez śladu? Bez numeru identyfikacyjnego, bez włosów na grzebieniu. Nie ma ich.

Zobacz, o kim muszę pisać. Przestrzeń, którą im daję, jest zawsze wyznaczona przez kogoś innego. Mogę użyć tylko tylu słów na ile mi się pozwala w danym przypadku. Czasem muszę upchnąć postać o autentycznej posturze i wartości w dwustu pięćdziesięciu słowach. Podobnież mogę dostać pięć tysięcy przeznaczone dla jakiegoś toczonego syfilisem przygłupa, który może poszczycić się jedynie szybką i popularną śmiercią. W tych okolicznościach zmyślanie może mi wyjść tylko na zdrowie.

Obecnie pracuję dla Lokalnego Zakładu Transportu Pasażerskiego. Chcą, żebym powiedziała to, co już myślą o autobusach.

> Autobusy to środek transportu biednych w obliczu nieelastyczności szyn pociągów, nieosiągalnych cen samochodów oraz kosztowności przejazdów taksówką wraz z ich awersją do dojeżdżania tam, gdzie biedni mogliby chcieć się znaleźć. Dlatego też, jeśli biedni akurat nie idą, to prawdopodobnie jadą autobusem.
>
> Ponadto wielu spośród biednych znajduje się w posiadaniu biletu ulgowego. W ten sposób starzy, głupi, kalecy, zdeformowani lub w inny sposób niedopasowani mogą podróżować tanio i nadmiernie często. Dołączają do nich niepracujący i niechcący pracować, nakierowani na zniżkowe wypady i przyjemne eskapady. Ci zmorzeni wypitkiem w jakimkolwiek autobusie mogą znaleźć publiczność dla sentymentalnych ballad, podtrzymującą dłoń, cierpliwe ucho, wskazówki, jak dojść gdziekolwiek, kąt do spania i podłogę, na której można zdeponować ostatni posiłek.
>
> Nieostrożni podróżni z innych krain, niezaznajomieni w pełni z naszym językiem, mają szansę przypadkowo wsiąść do autobusu. Nieświadomi jego prawdziwej natury pomylą zarówno opłatę za bilet jak i drogę, i poddani zostaną niewypowiedzianym poniżeniom podczas przejazdu, niepewni

swojego miejsca docelowego. Międzynarodowe incydenty tego kalibru mogą jedynie wprowadzić nas w nową erę dysharmonii pośród narodów.

Wpływ kolejkowania się na łatwowierne umysły biednych został już dobitnie udowodniony. Uporczywe i przedłużone kolejkowanie się, ważna część życia w Europie Wschodniej doprowadziła do ostatnich niepokojów na Węgrzech, w Polsce, Bułgarii, Czechosłowacji, a nawet w samej Rosji. Przyzwyczajone do obecności innych w długich, powolnych kolejkach, grupy zaczynają eksperymentować, formując tłumy i inne większe zgromadzenia, przeistaczając się następnie w krwiożerczy, skłonny do zamieszek motłoch. Mur Berliński obaliła nie demokracja, lecz kolejki.

Biedni w tym kraju są już wystarczająco stłamszeni kolejkami do urzędów miast, pocztowych i pracy, a częste uczestnictwo w oczekiwaniu na autobus może równie dobrze przelać czarę goryczy. Ponieważ autobusy nie mogą działać bez przystanków, a przystanki bez kolejek, a kolejki bezpośrednio poprzedzają krwawą rewoltę i hurtowy bunt, można by całkiem dorzecznie stwierdzić, że wszystkie autobusy są zagrożeniem dla społeczeństwa.

Znaczenie przystanków na żądanie zostanie opisane bardziej szczegółowo poniżej.

Należy także mieć na uwadze, że autobusy są właśnie instrumentem, który przenosi biednych z ich odosobnionych obszarów do szerokich ulic i kwiecistych alej, do których nie godzi się im aspirować. Z wysokich punktów widokowych zapewnionych przez piętro autobusu tak wiele par oczu może spoglądać w pokoje umeblowane niewyobrażalnym, subtelnie i w dobrym smaku. Ile razy ci ludzie dojrzą sztukę ekologiczną, międzynarodowe place i budki telefoniczne z drzwiami i ścianami, nim także ich zapragną?

Tak jak okopy Ypres i Passchendale połączyły chama i dżentelmena z nieprzewidzianymi rezultatami; tak autobus może stać się odpowiedzialny za nieodwracalne szkody w porządku i spokoju, na którym opiera się nasze życie.

Dlatego też musimy uznać, że autobusy, dalekie koniecznemu złu, są rakiem podgryzającym korzenie wszystkiego, co nam drogie. Wpływ niedzielnych kursów pozostaje zbyt straszliwy, by się nad nim zastanawiać.

Podobało im się. Nazwali tekst dobrze zbalansowanym i wyczerpująco opracowanym.

Niektóre zlecenia mogą być absorbujące, nawet obsesyjnie, ale uważam, że trzeźwe myślenie dobrze suplementuje hobby lub dwa. Akurat mam dwa. Kiedy

jestem na mieście, lubię chodzić, a kiedy jestem w domu, czytam. Kiedyś lubiłam powieści detektywistyczne, teraz wolę romanse historyczne.

Kiedy chodzę, widzę wspaniałe miasto, zbudowane przecznicami, jak Boston albo Nowy Jork. To czyni je zachęcającym i utrudnia gubienie się, bo jego kształtem rządzi siatka. Czasem jest tak, zwłaszcza zimą, gdy niebo tworzy lity błękit, słońce świeci obficie i nisko, a miasto staje się piękne. Nawet pomimo frytkarni zatrzaśniętych metalem i domów gnijących wokół ich mieszkańców; nawet gdy żebracy, naprawdę żebracy, są u stóp każdego odnowionego budynku, światło, które tu pada, czyni to wszystko pięknym. To miasto, gdzie paskudne rzeczy dzieją się w pięknym świetle.

Byłam całkiem niedawno na spacerze oczyścić głowę w czystym popołudniu pozostawionym przez chłód. Poszłam ulicą Blythswood, która krzyżuje się z ulicą St Vincent, a potem z ulicą West George i prowadzi na róg placu Blythswood. Obeszłam plac i weszłam znowu na ulicę West George i na ulicę Pitt, gdzie żyją policjanci, dalej i znowu na ulicę St Vincent i z powrotem na ulicę Blythswood. Potem do końca ulicy.

Tak działa siatka, jeśli nią podążasz, nic nie pójdzie źle. Opiekuje się tobą.

W czasie spaceru zauważyłam dwie rzeczy, które pozostały mi w głowie. Na placu Blythswood minęłam dom Madeleine Smith. Numer siedem. Stałam obok balustrady, przez którą jej kochanek kiedyś wyciągnął rękę, żeby wziąć zatrute kakao, które mu oferowała. Spojrzałam na mosiężną tabliczkę z napisem DOM MADELEINE SMITH i poszłam dalej. Na ulicy West George chodnik szumi ci pod stopami. Mijasz żółte znaki z wizerunkiem mężczyzny rażonego piorunem i słowami WSTĘP WZBRONIONY i GROZI ŚMIERCIĄ. Za składanymi metalowymi drzwiami znajduje się dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy woltów, o tym też informują, i możesz je poczuć w powietrzu i pod stopami. Cała ta moc odłupuje zaprawę pomiędzy cegłami i wycieka. Zastanawiasz się, czy umiłowany Madeleine też czuł coś z tego dziwnego podniecenia, gdy stał przy balustradzie i wyciągał dłoń po kubek.

To miasto sprawia, że myślisz w ten sposób. Drogi się łączą, krzyżują i idą dalej, a pasemka historii podążają. W niektórych miejscach wiele linii się skrzyżuje: co było, co jest i co będzie, i możesz pójść z jednego przypadku do drugiego bez nadepnięcia na spojenie. Jak spacerowanie przez tomiszcze, coś opasłego i wiktoriańskiego, wielowątkowego. Każe ci się zastanowić, kto cię czyta.

Siedząc nad swoimi książkami też znajduję linie przypadku. Prawie można uwierzyć, że pewne rzeczy miały się zdarzyć. Mackintosh wynajdzie płaszcz przeciwdeszczowy, Wallace zostanie pojmany i zabrany do Smithfield na rzeź,

nieuchronnym będzie odkrycie przez Sandwicha pajdy i dżemu. Dowody wskazują w każdym przypadku na jeden rezultat.

Tak samo jest ze zbrodnią, zwłaszcza morderstwem. Ludzie wstępują na linię przypadku i idą nią do końca. Jest w tym coś więcej niż ledwie muśnięcie predestynacji. Trafy losu nawarstwiają się przeciw nim; zły czas, złe miejsce, otwarte okno, niefortunny znajomy, nadmiar zaufania i nagle są połową czegoś nieoczekiwanego. A potem ciszą.

Czytałam na ten temat, widziałam dowody.

> *Czas Zabijać: Siedem wieków szkockiej jatki* pióra Rosamund Lundquist (Flaspog Press, £25.99)
>
> „Jeśli nas ukłujesz, czy nie krwawimy? Jeśli nas zatrujesz, czy nie umieramy?" Tymi słowami Rosamund Lundquist otwiera swoją najnowszą ekskursję w głąb szkockiej patologii. Jakiekolwiek paralele naszkicowane między wiedeńskim lichwiarzem i szkockim trupem nigdy nie nabierają kształtu, ale Pani Lundquist posuwa się naprzód w charakterystycznie przesadnym stylu, a jakiekolwiek braki w prozie nadrabia z nawiązką obfitość współczesnych grawerunków, drzeworytów i fotografii. Chętnie sięga po sprawdzony standard, akt zgonu, a częste ekshumacje i sekcje nadają książce niepowtarzalny smak.
>
> Ogólna jednolitość koncepcji Pani Lundquist jest oczywista od początku dzięki natchnionej okładce, zawierającej wyrywki ze znanych szkockich badań post mortem. Bardziej niepokoi zwyczajowe zdjęcie autorki, przedstawiające Panią Lundquist w trakcie ulubionego spaceru przez cmentarz Twechar. Biograficzne szczegóły nie odbiegają od oczekiwań wobec kobiety, której data urodzenia jest równie wątpliwa, co rok zaślubin jej rodziców, i której jedynym prawdziwym powiązaniem z wyższą edukacją są nieustające romanse z lokalnymi studentami.
>
> Lakoniczne, przekonujące, a miejscami raczej kiepsko edytowane 8000 stron cierpliwych dociekań Pani Lunquist [sic] jest upakowane morderstwami hurtowymi i domowymi, nieumyślnymi i perwersyjnymi.
>
> Czytelnicy mogą poddawać w wątpliwość niektóre z decyzji Lundquist. Na przykład ekscesy Kaliguli pojawiają się w tekście tylko z powodu jego domniemanej sympatii dla Sunday Post. Sama zgadzam się z głosami tych, którzy uważają to powiązanie ze Szkocją za lekko naciągane. Attyla, ze swoim upodobaniem dla placków ziemniaczanych, wydawałby się dużo bardziej przekonujący.

> Pomimo wszystkich swoich defektów i niekonwencjonalnego prowadzenia się Rosamund Lundquist, *Czas Zabijać* jest satysfakcjonujące i łatwe w czytaniu. Zwłaszcza dzieciom spodoba się rozdział *Udając Martwego*, tak zabawny, jak pouczający.
>
> Bez wątpienia najnowsza część wstąpi do wybitnego Kanonu Szkockiej Literatury, u boku *Kuchni Glasgow Bonnie Charlie* i *Ryb Hebryd Zewnętrznych*.

Ludzie lubią czytać o morderstwach; uważają je za kojące. Kładziesz przed nimi fakty, uprzejme, lecz szczere, i odcedzasz strach i tajemniczość od śmierci. Zwyczajnie pokazujesz im problem, który rozwiązujesz. To proste.

Jeśli badam morderstwo, to czasem dla innych, a czasem dla siebie. Jeśli dla innych, to pracuję z książkami, ale jeśli dla siebie, pracuję z ludźmi. Każdy by tak mógł.

Być może wchodzisz którejś nocy do pubu na sok pomarańczowy i lemoniadę. Wtulasz się w kąt i siedzisz bardzo cicho, tak jak zawsze powinna samotna dama. Może z szafy grającej leci coś, co znasz i podśpiewujesz zwrotkę. Patrzysz na bar i tam jest on: jego wargi układają się w kształty, w które wiesz, że układają się twoje wargi i oboje śpiewacie czyimś głosem. Oboje odwracacie się, bo musicie, oboje przestajecie śpiewać, prawie nie zauważając. Niedługo potem wychodzi.

Kobiecie nietrudno śledzić mężczyznę. Nie spodziewają się tego, nie jesteś zagrożeniem. I znikasz i cię nie widzą i znowu ich śledzisz.

Jeśli wiem, gdzie ktoś mieszka, mogę poznać ich nazwisko, numer telefonu, zawód, gdzie i kiedy idą, czy kupują *The Sun* czy *The Angling Times*. Mogę wejść po schodach ich podwórka i spojrzeć na ich drzwi i poczuć ich oddech.

Zakładam, że tak zwykle robią mordercy.

To niewinne hobby pozwala mi oddawać się obu moim zainteresowaniom. Mogę czytać; książki telefoniczne, rejestry podatkowe, nawet listy, i mogę chodzić. Po całym mieście.

Nie mam żadnych złowrogich zamiarów, proszę mi wierzyć. Wcale. Po prostu wybieram mężczyzn i czasem kobiety, którzy nie są w żadnym stopniu ważni, i gdy wiem o nich wszystko, piszę im nekrolog.

Mam ich całą książkę; klepsydry. Muszę wyobrazić sobie, jak mogą umrzeć, to muszę wymyślić, ale wszystko poza tym jest absolutnie prawdziwe. W tym sensie moja antologia jest unikatowa. Konwencjonalne sprawozdania są w pełni

prawdziwe tylko jeśli chodzi o śmierć i zaczynają kłamać dopiero gdy patrzą na życie.

W końcu powinnam wiedzieć. Coś wiem o kłamstwach.

Być może dlatego lubię tak bardzo to miasto i lubię chodzić po nim, zwłaszcza nocą, gdy mrok wyskakuje z podwórzy, a dzieci zbierają się tropić i kamieniować autobusy. Miasto też wie o kłamstwach. Tworzy je i kocha je i zapomina, że nigdy nie były prawdą.

Kiedyś łowiłam mężczyznę, kolekcjonowałam jego życie, podpytywałam w jego miejscu pracy i zobaczyłam, jak patrzy na mnie zza małego biurka. Czytał Statystyczny Raport Dundee i Okolic. Uśmiechnęliśmy się i zdjęliśmy okulary.

Potem nastąpił zyskowny szereg wspólnych przedsięwzięć.

Razem wchodziliśmy w miejski mrok. W mroku jest trochę luźniej i gubi się poczucie czasu, rzeczy tracą ostrość. Czuliśmy wyżynnych buntowników biegnących i biegnących, uroczyście ubranych angielskich żołnierzy patrolujących styczniowy most i mocny strzał muszkietów, stukający w ciała niezadowolonych ludzi i wchodzący i wchodzący. Ulica pełna przędzarzy leżących bez ruchu. Mordercy wiszą, tory tramwajowe się otwierają, wystawy się odbywają, a matki rodzą wielce ważne dzieci. I zawsze są głosy, każdego rodzaju, samotne i śpiewające lub srogie nad głowami tłumów. Są tłumy wszelakie.

Choć często pracuję bez odnoszenia się do notatek, mój towarzysz ciągle pisał, notował, bazgrał na rozmaitych papierach. W trakcie naszych wspólnych podróży skompilował naszą listę kłamstw. Znaleźliśmy kłamstwa o statkach, pogodzie, pociągach, toaletach komunalnych, piciu, plackach, pasztecikach, komikach, pijakach, śpiewakach, szczęściu, herbaciarniach, kulturze, schematach, socjalistach, głodzie, gniewie, glinie, domach, kapitalistach, malarzach, sylwestrze i Irn Bru.

W moim domu, z dala od chodników i torów kolejowych robiliśmy inne listy wartych odnotowania cech. Niebieska iskra we włączniku światła, gromadzenie i usuwanie kurzu, różnice w oddechu i skórze. Jego zeszyty zajmują dwa pudełka po butach pod moim łóżkiem.

Zamordowano go przypadkowo, nie celowo. Zadźgał go obcy w barze. Wcześniej ktoś się bił i jednego z przyjaciół obcego cięto tulipanem. Ponieważ obcy uwierzył w kłamstwa o braterstwie krwi i przemocy w miastach, przyszedł do pubu je urzeczywistnić. Wszedł prosto do środka, dość szybko, i dźgnął mojego przyjaciela. Mój przyjaciel postanowił stać w niewłaściwym miejscu.

Przy ranach brzucha nóż powinien pozostać w miejscu, tak aby ostrze mogło uszczelniać to, co rozcięło. Przy niedochowaniu procedur istnieje ryzyko śmierci. Mój przyjaciel chciał to wyjaśnić, ale udało mu się dopiero w karetce. Były dwie rany. Być może obcy chciał zmienić ułożenie noża.

Ponieważ mam jego zeszyty, mój przyjaciel nie znikł, nie ucichł. Mam jego dowody. Są też wycinki z gazet o jego morderstwie, ale żaden z nich nie wspomina, czym byliśmy razem. Mój dom jest pełen huku nas razem, jak cisza po wyłączeniu głośnej muzyki. Czasem się budzę i zastanawiam się, czy go zmyśliłam, i boję się szukać pudełek pod łóżkiem. Źle śnię.

Powinnam, być może, zarejestrować nasze szczegóły. Powinnam uwiecznić dziwne efekty naszego miasta. Ma zwyczaj mordować. Część jego konstrukcji służy do zabijania. Ludzie je tak zbudowali; śmiertelne, ale niezainteresowane, jak broń. Część z nas żyje w lufie, a część nie. A część z nas opisuje mechanizm i przypomina wszystkim o jego pięknie.

Nasze miasto i my w jego wnętrzu i ja we wnętrzu nas. Powinnam opisać je wszystkie, ale każdy wie, że za dużo kłamię, więc kto by mi uwierzył. Sama bym sobie nie uwierzyła. I za późno, by mówić o tym cokolwiek. Zbyt wcześnie dla historii i za późno dla gazet. Ktoś to kiedyś znajdzie, ktoś taki jak ja. Wyciągną nas i zapiszą nas. Mój jedyny wkład już tu jest: nekrolog, który mu napisałam zanim się poznaliśmy. Jest nieprecyzyjny.